



Danuta Rossman

część II z II

Sygnatura notacji: **N0259**

Data urodzenia: **02.09.1922 r.**

Data nagrania: **15.09.2009 r., 28.09.2009 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna Piotrowska, Barbara Pamrów**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

No szereg jest różnych rozkazów, w których moje nazwisko się przewija. Zaraz, chcę tylko fotografię pani pokazać. Znalazł się jakiś, widocznie on był w tym batalionie.

Ale nie dotarła pani do niego?

Nie. Nie mam pojęcia, kto taki. Zaraz tu gdzieś powinnam być. O, to, to.

I pani nie wie skąd to zdjęcie.

Nie mam pojęcia. To znaczy, ja to zdjęcie pamiętam, że taki było moje, ale skąd on do tego dotarł, nie wiem. A na końcu, gdzie jest spis z nazwiskami, którzy są tam – to niech pani sobie spojrzy, bo tam jest podane strony, w których są jakieś rozkazy.

Pani cytowała ten rozkaz w tym: „Opowiem ci o wolnej Polsce”, prawda?

Tak. Jak te dzieci były u mnie, tak, tak, tak. A tutaj właśnie kilka takich, bo widocznie no były jakieś w czasie tego... Ja, ja nawet nie... W czasie Powstania to nie wiedziałam o tym, to jakoś nie było ważne, nie docierało do człowieka.

A jeszcze chciałam zapytać o okoliczności powstania drużyny, którą pani właśnie założyła. Jak doszło do powstania?

Tej 14-tce „Zielonej”?

Tak.

Muszę powiedzieć, że ja w czasie wojny właściwie tak byłam w dwóch równocześnie organizacjach. Znaczy, byłam w żeńskiej organizacji cały czas, będąc właśnie tam u Hanki. Potem byłam na kursie dla drużynowych u takiej drużyny Falkowskiej – bardzo dużej klasy człowiek był. Ale równocześnie i właściwie więcej czasu poświęcałam na współpracę z chłopcami, właśnie te, te sabotażowe historie inne. I żeby więcej się wykazać troszeczkę w tej żeńskiej stronie tego wszystkiego, to założyłam tę drużynę, a ponieważ znałam cały szereg dziewcząt, no tak trochę ze szkoły, trochę z towarzystwa, które chciały coś robić, no więc tak: najpierw zrobiłam, założyłam taki zastęp starszych dziewcząt, które potem z kolei miały swoje zastępy i powstała ta drużyna, 14 „Zielona”. Zresztą chodziło nam o to, żeby, żeby to nie była taka strasznie serio i strasznie ciężka. Miałyśmy taką piosenkę: „Póki świat młodych lat żyje w nas, póki serca biją tętnem młodej krwi, zdobywamy z radością cały czas, z każdą troską, smutkiem, walcz. Czternastka nasza smutek rozprasza i pełni zieleni – nie, czy – nadziei – A! – Pełni nadziei świat rozzieleni, czternastka nasza smutek rozprasza. Idziemy w nowe, w daleką drogę by przynieść wszędzie szczęście i śmiech”. O! Nawet przypominałam sobie. A więc, więc... Ale z tym, że muszę powiedzieć, że te dziewczęta, właśnie te, te starsze, które były w tym moim pierwszym zastępie, tym organizacyjnym, no to później jedna była łącznikiem Andrzeja Morro w „Zośce”, druga była łącznikiem „Koziołka”, czyli drużynowego 23. Trzecia była z kolei na Mokotowie łącznikiem, tak że one wszystkie się włączyły do, potem do tej pracy konspiracyjnej całkowicie.

I ta drużyna była całkowicie niezależna od „Błękitnej” 14-tki?

Znaczy, w ten sposób zależna, że ja byłam członkiem tej, właściwie to trudno nawet powiedzieć „Błękitnej” 14-tki, takiej małej grupy, którą prowadziła stale Hanka Zawadzka. Myśmy się zbierały jako taki niby oddzielny zastęp. Jedna z moich najbliższych przyjaciółek utworzyła... prowadziła 14-tkę, właśnie dalszy ciąg, że tak powiem tej, tej pierwszej 14-tki, która była jeszcze przed wojną. Tak że 14-tki sobie jakoś... Potem jedna z moich dziewcząt założyła jeszcze „Złotą”, tak że tak się rozprzestrzeniło to, ale no takich spotkań organizacyjnych, całosciowych, nie było, no bo to nie było żadnych szans na to.

Jeszcze znalazłam informację, że w czasie okupacji pracowała pani w ośrodku zdrowia przy ulicy Opaczewskiej.

Tak. Oj, różne rzeczy robiłam w czasie wojny. Bo tam pracowałam, potem pracowałam gdzieś na Grochowie chyba, z takim druhem Dargielem, który – to był muzyk właściwie z zawodu i nauczyciel. Pięknie śpiewał i cały szereg zresztą piosenek tych okupacyjnych to on, bo taką „Dorotę” na przykład, to on napisał i potem nas uczył. A na Opaczewskiej pracowałam formalnie, drużna Wanda, Czarna tak zwana, komendantka naszej chorągwi... I ponieważ ja szukałam wtedy pracy żeby po prostu trochę zarobić, więc dzięki niej się tam dostałam. Ale na przykład stamtąd miałam taką dziwną pracę, dlatego że chodziłam po różnych domach, znaczy – mieszkaniach prywatnych i namawiałam ludzi, żeby zgodzili się, powiedzmy, raz na tydzień dać obiad jakiemuś dziecku. Było wiadomo, że we wtorek o tej godzi-

nie jakieś dziecko przyjdzie – powiedzmy, to samo będzie przychodziło stale. Były takie domy, które się zgadzały nawet codziennie dawać obiady, no ale miałam i taką historię kiedyś, że właśnie chodząc, szukając takich domów... Chodziłam razem z Wieśkiem Krajewskim, jego pseudonim Miki. I trafiliśmy do jakiegoś mieszkania, tak było, widać było, że względnie zamożne i ci właściciele, znaczy ten, kto mi tam otworzył drzwi, ze mną rozmawiał, no to w ogóle nie chciał na ten temat i mówi – to znaczy, powiedział: „Proszę wyjść! To jest żebractwo! Jak można w ten sposób postępować!”. Ja chciałam się wycofać, ale właśnie ten mój towarzysz, niestety on był w gorącej wodzie kąpany i on miał pistolet przy sobie. I on wyciągnął pistolet. Ci się strasznie zlekli, oczywiście właściciele. No ja tyle, że go złapałam za kark i mówię: „Uciekajmy”, no i szczęśliwie uciekliśmy, ale... No to niektórzy chłopcy właśnie byli tacy no, no niebezpieczni, można powiedzieć – i dla siebie i dla innych. Więc, więc ten... Ale moja praca na Opaczewskiej polegała właśnie na tego typu robocie, takiej społecznej.

A wywiady społeczne przeprowadzała pani?

Nie, wtedy nie. To znaczy przed, jak, jak namawiałam na te obiady, no to trzeba było mniej więcej się zorientować co to są za ludzie, więc bardzo często przed tym żeśmy cośkolwiek starali się zebrać jakieś informacje, ale czasami przychodziliśmy do domów zupełnie obcych.

A ludzie często się zgadzali?

Często się zgadzali, często. To znaczy nieczęsto się zgadzali żeby codziennie komuś dać, bo po prostu ludzie sami nie mieli pieniędzy, więc... Ale właśnie, że powiedzmy, tam raz na tydzień czy dwa razy na tydzień dać i... To znaczy, takie dziecko przychodziło tam do nich do domu i tam dostawało obiad.

To teraz chciałam zapytać o pani męża. W jakich okolicznościach się poznaliście.

To już wszystkim opowiadam, dlatego że, że stale mnie pytają o to, a, a to rzeczywiście taka historyjka do bajeczek, można powiedzieć. Znaczą, na jesieni w czterdziestym drugim roku Tadeusz Zawadzki organizował dla hufca Mokotów ćwiczenia w lesie, w Lasach Chojnowskich pod Warszawą. Było zorganizowane w ten sposób, że chłopcy, bo to tylko była ta męska część harcerstwa, chłopcy dostali tak, po dwóch dostawali szkic drogi, którą mieli iść i wiadomo było, że po drodze będą różne przeszkody, które muszą pokonać. No to był taki bieg harcerski. Natomiast z dziewcząt byłyśmy tylko we cztery, znaczy była Urszula Głowacka, taka trochę starsza ode mnie, z naszej drużyny, z 14-ki, która niosła sztandar na sobie pod ubraniem, na którym mieli chłopcy składać przyrzeczenia. Ja niosłam wpięty do, do włosów tutaj, rozkaz, który miał Tadeusz przeczytać potem, jak już będzie zgrupowanie, wszyscy dojdą na to miejsce. A dwie młodsze dziewczyny, to była Duśka Bytnar i jeszcze taka Mirka jedna, szły jako, przed nami, po prostu żeby sprawdzać czy jest wolny teren, czy możemy, czy nas nikt nie złapie, bo myśmy niosły coś, a one nic. I jak już byłyśmy tam na miejscu w lasach, znaczy, w Chojnowie i one szły przed nami jakieś takie pół kilometra, ale zobaczyłyśmy z daleka, że ktoś na rowerze do nich podjeżdża, zatrzymuje i wciąga do lasu. No więc trochę żeśmy się zlekły, też wlażyłyśmy w las głębiej, ale chciałyśmy się dowiedzieć co się dzieje z tymi naszymi dziewczętami, a więc krążyłyśmy tak po lesie i w pewnym momencie usłyszałyśmy jakieś, jakieś takie śmiechy, rozmowy. Podeszłyśmy tam

jakoś tak cicho i okazało się, że siedzi jakaś taka grupka, gdzie widzę, że siedzą i te nasze dziewczyny też i razem rozmawiają i się śmieją wszyscy. No więc wtedy oczywiście myśmy też do nich podeszły. Co się okazało? Że jak ten ktoś ciągnął, prawda, i tam do lasu Duškę, to naprzeciwko wyszedł mój brat, młodszy ode mnie o trzy lata, no ale też był w harcerstwie, działał. A to była sympatia, on był sympatią Duški Bytnar. I jak Duška zobaczyła jego naprzeciwko idącego, to się... Chciała mu dać znać, żeby uciekał, bo, bo tu nie wiadomo, kto z nimi idzie, no i zaczęła jakoś tam dawać znaki. No ten ktoś ją natychmiast za kark. Po czym się okazało, że mój... że ten ktoś, kto zatrzymał, mówił po niemiecku, tylko z odznakami niemieckimi, nie w mundurze, w cywilu, ale ten... Zatrzymał Duškę, powiedział: „Co wy tu robicie w lesie o tej porze? W lesie, daleko od miasta”. No więc ona się tam wykręcała, że to na wycieczkę, że jest ładna pogoda. No ale on ich, wszystko jedno, złapał, a jak jeszcze zobaczył potem, że ona takie daje znaki, no to tym bardziej. No ale później się okazało, że Przemek, czyli mój brat, razem z tymże „Niemcem”, ma jeden z punktów. Potem taki był zorganizowany dla chłopców, musieli zjeżdżać – taką linę strażacką mieli i z wysokiego drzewa musieli jakoś się tam zjeżdżać. I on pilnował tego punktu. No, tak się naplątało. No potem się okazało, że tym Niemcem był po prostu ten mój przyszły mąż. I wtedy go, w ten sposób go poznałam. Tak że mało brakowało a by mnie aresztował.

A jakoś współpracowali państwo ze sobą później?

Ja nie, z Janem. To znaczy, powiedzmy, po śmierci Tadeusza Zawadzkiego, kiedy Jan zresztą przywoził jego ciało do Warszawy – oczywiście wszystko w sekrecie przed Niemcami. I spotkałam na ulicy, właśnie szedł Jan ze Staszkiem Groniewskim i, i oni mi powiedzieli właśnie, że trzeba pojechać do Zalesia, gdzie był domek państwa Zawadzkich, zawiadomić ojca i Hankę. No, ponieważ ja Hankę znam dobrze, zresztą profesora też, więc pojechaliśmy we troje do Zalesia zawiadomić o śmierci Tadeusza. I wtedy calusieńką noc przechodziliśmy po takim, tam było takie boisko do tenisa przy domu i myśmy tak przespacerowali. I właściwie wtedy bliżej dopiero Jana poznałam, no nie? Bo taka noc przespacerowana po takiej trudnej sytuacji, bo to przedtem był ten Arsenał, no moi najbliżsi aresztowani, w Oświęcimiu, tutaj śmierć znów Tadeusza, więc – no wtedy to zbliża ludzi i wtedy myśmy się tak właściwie bliżej poznali. Ale o Janie ja słyszałam od chłopców dużo, dlatego że on spotykał się właśnie z Tadeuszem, z – no ze wszystkimi po kolei w różnych akcjach, a poza tem w rozmowach. Oni go bardzo nie tylko lubili, ale go cenili. Znaczący, Jan był jakimś autorytetem. On był starszy trochę od chłopców parę lat i był jakimś autorytetem dla nich. Więc ja zawsze miałam wieści ze spotkań, to mi chłopcy opowiadali, że byli wtedy w porządku.

A jeszcze, cofając się troszeczkę przed sierpień czterdziestego trzeciego roku. Pani mąż miał wpływ na powstanie „Kamieni na szaniec” jakiś, prawda?

Tyle, że Jan bardzo blisko współpracował z Kamińskim. Następnie no, po Arsenale, wtedy jak, jak Tadeusz sam... Znaczący, Tadeusz był strasznie przygnębiony. I wtedy profesor Zawadzki razem z Janem namówili go, Tadeusza, żeby sam napisał swoje wspomnienia: i cały ten Arsenał, i ten cały okres taki ciężki, przy odbiciu Janka. I Tadeusz to napisał. Jak to napisał, to wtedy, no Jan po prostu namówił Kamińskiego, dając ten tekst, żeby coś napisał na ten temat. Na razie Kamiński nie bardzo chciał, ale później zorientował się jak to wszystko wygląda i uważał, że, że warto i że trzeba jakoś uwiecznić. No była kłótnia oczywiście na temat tytułu, bo Kamiński nie chciał takiego ciężkiego, tych kamieni, zimnych kamieni, rzuconych, no ale go namówili i... Tak że, no powiedzmy sobie, no był blisko wtedy. Poza

tym w naszym domku na Sułkowskiego odbyły się spotkania Kamińskiego, na przykład z moją siostrą, Baśką, to znaczy tą ukochaną „Alką” Dawidowskiego i z innymi ludźmi, którzy potem tam w książce występują, a których Kamiński nie znał. Więc... I tam były te spotkania. Kamiński z nimi rozmawiał, żeby się więcej jakoś dowiedzieć wszystkiego. No to co, tyle było, powiedzmy, jakoś tam bliżej.

A sierpień? Gdzie była pani 1 sierpnia czterdziestego czwartego roku?

No w Warszawie, oczywiście, że w Warszawie i przed godziną piątą byłam na ulicy Filtrowej koło placu Narutowicza. Tam zresztą na ulicy Barskiej było mieszkanie dwóch moich dziewcząt z tego starszego zastępu i tam miał być punkt dowodzenia komendy warszawskiej, tej męskiej. Znaczący, tam miał być Mirowski ze swoim sztabem, właśnie w tym mieszkaniu. Ja stamtąd wyszłam i szłam do Śródmieścia na punkt wyznaczony dla mnie, który miała prowadzić Hanka Zawadzka. No Hanka się nie stawiała, nikt... Tak też stąd zostałam potem właśnie tak nigdzie właściwie, na tym, na ulicy Marszałkowskiej. No ale dosyć szybko właśnie ci komendanci, znaczy „Iwo” i „Ostoja”, pozbierali te, tych niedobitków, którzy się nie dostali do swoich punktów, no i właśnie utworzył się ten batalion, z którego o dziwo właśnie znalazła się potem ta książka.

I była pani komendantką Wojskowej Służby Kobiet.

No na razie byłam tylko łączniczką.

Mhm. A później?

Potem to się, ponieważ to się rozrosło, było dużo dziewcząt z sanitariatu, były dziewczęta właśnie z łączności. A później, muszę powiedzieć, że miałam całą grupę, przepraszam, ale prostytutek z ulicy Kruczej. Dosłownie. I to były tak dzielne dziewczyny. Dla nich nie było, no nie było nic strasznego, czego by się nie chciały podjąć. Wszędzie weszły, wszystko robiły i... Tak że okazało się, że to rozmaicie w życiu bywa.

A gdzie walczył Batalion „Iwo”?

Słucham?

Gdzie walczył Batalion „Iwo”?

To było Śródmieście. To było Śródmieście. Powiedzmy, północna granica to były Aleje Jerozolimskie i potem na południe, część... Ulica Krucza, Marszałkowska, tam.

A jak była pani komendantką, to...

Ja byłam komendantką i byłam, można powiedzieć, łącznikiem, tak że chodziłam po, po różnych sąsiednich grupach,

gdzie musiałam zanieść jakąś wiadomość. No kiedyś mnie przyłapali z Batalionów Chłopskich. Nocą szłam. No ja miałam taką harcerską pelerynę długą, do ziemi i miałam latarkę ze sobą no bo ciemno zupełnie. No już poharatane bruki i chodniki, tak że niebezpiecznie. I tak pod tą peleryną świeciłam latarkę, żeby się nie przewrócić po prostu. Już nie pamiętam do kogo wtedy niosłam jakieś zarządzenie czy rozkaz. I dwóch takich panów mnie złapało, że przecież nie wolno świecić latarkę. Ja mówię: „No wiem, oczywiście, tylko trudno tutaj iść w ogóle nie oświetlając sobie minimalnie kawałeczka ziemi pod nogami”. No, ale zdaje się, że im chodziło o to po prostu, żeby mi, odebrać mi tę latarkę. Tak że zabrali mi latarkę i dali mi spokój, poszli sobie.

A spotkała się pani z jakimiś reakcjami ludności cywilnej? No bo były różne.

Muszę powiedzieć, że z negatywną nigdzie, nie. Natomiast pod koniec Powstania, bo głód był, w czasie Powstania też były te zupy „pluj”. Ale pod koniec Powstania ludzie powyciągali jeszcze widocznie z piwnic, jeszcze jakieś tam zasoby. Tak że na przykład ja ostatnią noc, kiedy wiedziałam, że już trzeba będzie na następny dzień iść, piekłam ciasto – znaczy, ciasto – dostałam całą beczkę topionego masła od kogoś, od ludności cywilnej, no i jakąś mąkę, troszeczkę jakiegoś cukru i takie, takie jakieś gnioty robiłam i rozdawałam chłopcom, bo to było coś warte. I wyszłam do Powstania też z takim dosyć dużym garnkiem tego masła właśnie, topionego. Tak że wtedy już ludzie tak nie, nie... Bo przed tym prawdopodobnie no myśleli o swojej, o swoich bliskich, żeby ich zabezpieczyć, no a tu już widzieli, że to już koniec, więc już powyciągali różne rzeczy i dali nam.

A czy był jakiś moment, który zapadł pani najbardziej w pamięć, zachował się u pani najbardziej w pamięci, z Powstania? Coś takiego charakterystycznego.

No, kiedyś musiałam przejść przez Aleje Jerozolimskie na północ, bo było spotkanie instruktorek. No i wtedy, wtedy po prostu to było spotkanie. Po prostu każda powiedziała gdzie jest, co robi, jak wygląda sytuacja na jej terenie. No kiedyś, kiedyś dostałam odłamkiem w brzuch, ale szczęśliwie to nie poszło głęboko, tylko pod żebrami mi się ten odłamek zatrzymał. Potem go tam zoperowali nawet, tak że dwa czy trzy dni leżałam w piwnicy w Alejach Jerozolimskich, bo Aleje Jerozolimskie nie były ostrzeliwane przez Niemców. Bo tam było tak dziwnie, że w jednym domu czy piwnicy byli Polacy, a zaraz w sąsiednim byli Niemcy, więc tam było sporo Niemców i oni swoich po prostu nie ostrzeliwali. Tak że tam gdzie ja leżałam w tej piwnicy, to można powiedzieć, że za ścianą sąsiedniej byli Niemcy. Ale właściwie naj, naj... A muszę powiedzieć nawet, że też na jakimś koncercie byłam, takim powstaniowym. Pamiętam, że to Krukowski śpiewał wtedy. To tak, taki króciutko, gdzieś tam – ja już nie pamiętam gdzie to było, ale, ale były takie momenty. Z Dargielem się też spotkałam właśnie w czasie Powstania. No dostałam, mam taką karteczkę jeszcze właśnie z Powstania, że – to Wiesiek do mnie pisał, że, którzy już nie żyją. I to tak leciało szybko. No i to, ten, poddanie się już Warszawy, no to było bardzo ciężkim momentem.

No właśnie kiedy pani się dowiedziała o kapitulacji, znaczy, w jakich okolicznościach.

Wiesz, że ja już nie pamiętam w tej chwili. W każdym razie ja chciałam w ogóle zostać w Polsce i miałam chęć, można było zwać z tego szeregu idącego, gdzieś się zawieruszyć i ten. Ale właśnie mój komendant prosił mnie,

żebym poszła jednak do obozu, do niewoli, żeby po prostu zająć się tymi, no tymi kobietami z którymi szłam. Muszę powiedzieć, że poza tymi, które były rzeczywiście w tym naszym batalionie, na przykład poszły z nami do obozu dwie takie nieletnie dziewczuszki. To były Żydóweczki, które jakimś cudem wyszły z getta już przed, znaczy, znacznie wcześniej i one chodziły po ulicach i śpiewały, zarabiały w ten sposób. Myśmy je wzięły do, między siebie, no bo po prostu to było, w jakimś stopniu liczyliśmy, że będą uratowane, bo idą do wojskowego obozu. A ponieważ były i dziewczęta i, i dojrzałe były bardziej kobiety, więc, więc jakoś się tam zaplątały i były z nami. No a ja rzeczywiście poszłam z tymi, z tymi swoimi i bardzo takie dziwne to towarzystwo było bo właśnie tak jak mówiłam, między innymi takie właśnie jakieś uliczne dziewczyny.

A sam moment kapitulacji, znaczy, w sensie wyjścia z Warszawy, pamięta pani?

No pamiętam, dlatego że myśmy, tak trzeba było – ci, którzy mieli broń, to musieli składać broń. Oczywiście broń była odpowiednio zniszczona przed tym, żeby, żeby Niemcy dostali zniszczoną. I zaprowadzili nas do Ożarowa, do takich wielkich hal fabrycznych. Tam spotkałam się z resztą z moim mężem, z Broniewskim, z Jabrzebskim, z tymi... z Kozłowskim i, no najbliższymi, powiedzmy, sobie, chłopcami, którzy jeszcze przeżyli. No i... Ale oczywiście potem do obozu to już jechałyśmy oddzielnie – znaczy, oddzielnie kobiety, oddzielnie mężczyźni. Ja, nie wiem jakim cudem, w czasie Powstania dostałam taką, taką wiatrówkę właściwie, ale taka ocieplaną, niemiecką. Ona z wierzchu była w takie łaty zielono-brązowe, tak jak to Niemcy mieli, a pod spodem biała, tak że... Bo to było liczone, że dla wojska idącego na wschód, do Rosji, więc na tę białą stronę jak byłby śnieg, a w lecie na tą drugą. I ja tą, miałam tę wiatrówkę, bo pewno nic niewiele więcej miałam do włożenia. I jak wieźli nas pociągiem i w pewnym momencie nas, zatrzymał się pociąg gdzieś zupełnie w polu. Wypuścili nas, przepraszam, ale prawdopodobnie żebyśmy sobie po prostu mogły ulżyć. Jeden z konwojentów, ten Niemiec, zobaczył, że ja jestem w tej wiatrówce, ściągnął ze mnie, zabrał to. No ja się poskarżyłam naszej dolmeczce, znaczy, takiej tłumaczce, która z nami jechała z Polski. Ale widocznie te polskie kobiety to nie pozwalają sobie robić każdemu to kto chce. Ona poszła do głównego komendanta tego całego składu pociągu, powiedziała, że ubranie zostało zabrane żołnierzowi. I przyszedł ten, ten konwojent przyszedł i tak cisnął mi pod nogi tę kurtkę, wściekły taki, ale musiał oddać. No bo te, te nasze panie, one się powoływały na taką umowę między... W Szwajcarii pisaną, genewska się nazywała taka umowa i myśmy były traktowane jako żołnierze.

A jakie panowały wówczas nastroje? Wierzyła pani, że wróci? Znaczy, myślała o powrocie?

Tak, tak, zdecydowanie tak.

I wśród pani towarzyszek? Również planowali...

Tak. Więc najpierw, najpierw to właściwie wszyscy, wszystkie myślały o powrocie, że koniecznie do Polski z powrotem, no ale nie wiedziałyśmy co, co to będzie w Polsce.

A do jakich obozów pani trafiła? Bo chyba była pani w kilku, prawda?

Ja byłam w dwóch obozach. Najpierw byłam w Sandbostel – to było na granicy holenderskiej, tam na północ. I to był obóz wojskowy, szczęśliwie to był wojskowy obóz. I... Ale żołnierski. Wsadzili nas, znaczy kobiety, do takiej części obozu, to był barak karny. On nawet był na takich, te baraki stały – widocznie tam musiał być bardzo taki podmokły teren, bo on stał na takich jakby podwyższeniach, takich balach. I podwójne druty były naokoło. A dlatego nas tam wsadzili, bo to był przecież obóz dla mężczyzn, mężczyźni siedzieli tam już pięć lat i Niemcy się bali, że, przepraszam, ale jak ci mężczyźni zobaczą kobiety, które przyszły, to licho wie, co będzie się działo. W związku z tym jako takich pilnujących nas byli nie tylko Niemcy, którzy mieli stałą wartę w dzień i w nocy, ale również Polacy, którzy zostali wsadzeni tam w trzydziestym dziewiątym roku. I przychodziły takie grupy, które nas pilnowały, właśnie tych Polaków. No, szczęśliwie, znalazł się tam jeden z tych żołnierzy, który miał krzyż, harcerz taki. I ja się wtedy rozchorowałam, nawet dosyć ciężko, na, miałam ropne zapalenie strun głosowych i przestałam w ogóle mówić. Ale przed tym nawiązałam już kontakt właśnie z tym druhem. Okazało się, że to był oficer, który zerwał swoje szlify, żeby pójść ze swoimi żołnierzami do jednego obozu. I ponieważ oni siedzieli pięć lat, w Niemczech była taka sytuacja, że po prostu brakowało mężczyzn do roboty na roli w swoich gospodarstwach, więc ci nasi żołnierze chodzili na tak zwane komenderówki, wysłani byli z obozu pod, oczywiście, eskortą, zawsze jakichś strażników niemieckich i pomagali po prostu tam uprawiać ziemię. I oni... A dostawali już od dosyć dawna paczki czerwonokrzyskie. To były bardzo porządne paczki, bo tam było dużo do jedzenia, i papierosy, i kawa, herbata, no różne rzeczy. I oni sobie często wymieniali z tymi Niemcami na jakieś tam, to co chcieli. Niemcy chętnie brali, bo był głód przecież wtedy w Niemczech też. I muszę powiedzieć, że ten, ten właśnie żołnierz, który miał ten krzyż – ja do dzisiaj nie wiem jak on się nazywał, przynosił mi codziennie termos z ciepłym mlekiem. Później to mleko jeszcze miało kaszkę manną w środku. I na pewno to jest rzecz, która mnie, no w jakimś stopniu uratowała jak nie życie, to w każdym razie głos, który powolusieńku, ale odyskiwałam jakoś. Bo ja nie mogłam nic tykać, nie mogłam mówić nic. No miałam opuchnięcie wewnątrz bardzo silne. Tak że on mnie tak pomagał, a potem jeszcze i on i ci inni Polacy, którzy nas też pilnowali, prawdopodobnie też rezygnując z swoich przydziałów właśnie żywnościowych, wymieniali i obuli mi wszystkie dziewczyny, które nie miały obuwia – to znaczy, miały obuwie, ale często przecież wychodziły w letnim, albo jakimś niepasującym zupełnie. I oni po prostu od tych Niemców jakieś tam obuwie... Tak że, tak że bardzo pomogli. No ale ja już, już w grudniu mnie przenieśli gdzie indziej, bo po prostu Niemcy jak to Niemcy, porządek musi być i kobiety-oficerowie zostały przeniesione do innego obozu. Wywiezione, byłyśmy wywiezione najpierw do Molsdorfu, potem, potem w końcu w Burgu wylądowaliśmy.

I spotkała pani tam swojego, później swojego męża, tak?

Tak. To najpierw na moje imieniny, można powiedzieć, 13 czerwca zjawił się Jurek Kozłowski. Bo zaczęli jeździć przecież jak, jak już była kapitulacja Niemiec, przecież ten, no to Polacy jak to Polacy, zaczęli się szwendać po, po, gdzie się dało. No i potem przyjechał mój mąż z kolegą, jakimś dziennikarzem, samochodem, widocznie gdzieś od jakiegoś Niemca znów wzięte czy kupione, nie mam pojęcia. I on mnie wtedy wyreklamował z obozu, bo o tym, że można sobie wyjść, to nie z naszymi kobietami. Bo kobiety rządziły. Ja miałam przecież przez długi czas jak siedziałam jeszcze w obozie, to stale weryfikowali, kobiety weryfikowały mój stopień oficerski – skąd ja dostałam ten stopień, bo ja nie należałam. Ja ten stopień dostałam od, od mężczyzn, a nie, a nie od kobiet, więc była weryfikacja, ale w końcu uznały, że rzeczywiście jest wszystko w porządku. I potem kobiety bardzo pilnowały, żeby nasze towarzystwo, to babskie,

nie rozlało się wszędzie, byle gdzie i... Ale ja zostałam, dostałam właśnie zwolnienie, żeby wstąpić do służby wojska angielskiego, z przydziałem do prac harcerskich i tak miałam formalnie napisane. Dostałam piękny mundur, tak jak miały wszystkie Angielki i te Polki, które służyły w wojsku angielskim. I wszystko było zielone od początku do końca, od skarpetek do, przez majteczki, wszystko było zielone, śliczne. I wtedy pojechałam do Lubeki, z mężem pojechałam do Lubeki. Tam się okazało, że jest więcej tych naszych chłopców właśnie z tej pasieki i wtedy już im było lepiej jak ja się zjawiłam. Potem ja już mieszkalam nie w obozie, tylko w prywatnym domu w Lubece, no i to tak trwało troszkę. A to wszystko właściwie, to, to nie był, ten czas był krótki przecież. Przecież uwolnienie mojego obozu było w maju, a w lipcu już brałam, w Maczkowie brałam ślub, więc to wszystko się, szybko się toczyło.

I jak wyglądał ślub? Bo to chyba z dala od rodziny było? Nie było rodziny na ślubie, prawda?

Nie, nie, nie, absolutnie. Świadcami moimi był Broniewski i Białous, komendant „Zośki”. A ślub dawał taki ksiądz, Ślązak, który siedział też w obozie przez te pięć lat i zupełnie nie pamiętał jak się ten ślub daje, ale ponieważ szczęśliwie był z nami Przemek Górecki, to był taki komendant „Zawiszy”, ten od najmłodszych tych harcerzy, a on był przez wiele lat, służył do mszy świętej jako ministrant, więc on podpowiadał temu księdzu – no i taki był ślub. A po ślubie pojechałam... Dostaliśmy tam domek harcerski, w tymże Maczkowie, do dyspozycji harcerstwa. I dwanaście nas osób jechało od tego ślubu naszym samochodem, który, mąż kupił taki duży samochód. Śmieliśmy się, że to taki własny Hitlera, bo to był taki duży terenowy samochód, też w takie mazajki kolorowe pomalowany. No ale było nas dwanaście osób. Ciasno tak, że ja leżałam plackiem na bagażniku z tyłu i trzymali mnie za ręce, żeby nie upadła. To taki był powrót ze ślubu. Takie, tak wtedy były takie dzieje.

A co było przed powrotem do kraju? Bo nie wrócili państwo od razu.

Nie. Myśmy... To prowadziliśmy tam robotę harcerską. A kiedy byliśmy już zdecydowani... A jeszcze mieliśmy taki klub w Paryżu, jeszcze przyjeżdżali do nas z Paryża, jeszcze przyjeżdżali z Londynu, bo to harcerstwo zaczęło się jakoś dogadywać, zobaczyć, co dalej robić. Poza tym właśnie nie wiedzieliśmy: wracać czy nie wracać, bo jakieś słuchy dochodziły o tym, co się dzieje tu w kraju. Postanowiliśmy, że te wszystkie plotki dochodzące musimy sprawdzić. W związku z tym Broniewski, Kozłowski pojechali do Polski na troszkę i jak wrócili, to powiedzieli nam, że jednak wracamy. Że jest ciężko, nie tak prosto, ale, jest tyle roboty w kraju czeka, że trzeba tam wrócić. No i zdecydowaliśmy się całą gromadą, że będziemy wracać. Wtedy myśmy mieli jeszcze takiego opelka. Mąż razem z innymi siadł do tego opelka, pojechali jeszcze do Belgii, żeby wymienić jakieś papierosy, bo oczywiście nikt nie palił, inne jakieś rzeczy, żeby mieć trochę pieniędzy, zabrać do Polski. No i niestety wypadek, katastrofa, bo... To się po wielu latach dowiedziałam, że po prostu jechał jakiś duży wóz amerykański, wojskowy, z przyczepą taką z tyłu i przy jakimś zakręcie ta przyczepa strąciła tego naszego opelka do rowu, no i tych pięciu chłopców wylądowało – szczęśliwie potem jechał jakiś wóz angielski i natychmiast ich zabrali, że tak powiem, do szpitala w Münster. No, muszę powiedzieć, że ja, był taki moment, kiedy ja wzięłam plecak i powiedziałam: „Idę ich szukać”. Nie wiem, co się dzieje, nie mam pojęcia, o żadnych komórkach nie było mowy, telefonów też nie, więc zaczęłam szukać. Wtedy pomógł mi Białous. Pojechaliliśmy jeepem, bo on... Aha, dzwonił, dzwonił przez wojskowe telefony do różnych szpitali i ten, żeby się dowiedzieć. W końcu dowiedzieliśmy się, że, że – nazwisko Rossman takie było, powiedzmy, do wymówienia

dla Anglików – i jest w szpitalu w Münster. On wtedy, Ryszard mnie tam zawiózł. Pamiętam, że się pytałam. Mówię, że jestem żoną, że podobno tu taki leży. „Tak – ale mówią mi – ale on nie leży sam w sali, tylko tu jest więcej, więc tylko dowiem się czy może pani wejść”. Angielski to już był, to był już angielski szpital. Więc ja weszłam do tego pokoju, patrzę, a tu pięciu moich – wszyscy, pięciu razem. No i wtedy... No Jan miał nogę w gipsie, tutaj miał poharatane wszystkie te, przeciętą twarz, tak że... No każdy coś tam miał po tym wypadku ciężkiego. Ale co można było zrobić? Był, pod opieką lekarską byli wszyscy. Wtedy się zetknęłam pierwszy raz penicyliną, dopiero pierwszy raz. Wtedy się okazało, że istnieje taki środek. No i bardzo szybko ich zabrali, przez Antwerpię wywieźli do Anglii, do szpitala angielskiego. Ale już, już byliśmy wszyscy właściwie zdecydowani na powrót do Polski. I tam mieli kłopoty w Anglii wtedy, dlatego że jakoś była wtedy tendencja, w rządzie mówili, że będzie trzecia wojna, więc że nie ma co wracać do Polski, trzeba zostać, bo będzie trzecia wojna i... W której niby każdy by brał udział. No ale ci moi stwierdzili, że jednak chcą wracać do kraju. I pomógł im wtedy właściwie Grażyński, to był przewodniczący harcerstwa w Polsce i pomógł jakoś tak, że się wydostali do Europy i przez Paryż wrócili do Maczkowa. Mieliśmy zaraz wracać do kraju, ale wtedy jeszcze była powódź duża, rzeka Ems wylała, tak że żeśmy zupełnie nie mogli się ruszyć. No i jak tylko było można, to wróciliśmy do kraju. Wróciliśmy dwoma drogami. Ja wtedy z mężem i z ojcem, który się odnalazł, płynęliśmy morzem do Gdańska, a Broniewski, Jabrzeński, Jaczewski, to wrócili południem, bo rozdzieliliśmy się specjalnie, bo nie wiedzieliśmy czy nas nie aresztują zaraz po przyjeździe, prawda? Ale nic nie aresztowali ku mojemu zdziwieniu do dnia dzisiejszego, dlaczego tego towarzystwa „szaroszeregowego” harcerstwa, o którym Niemcy świetnie wiedzieli i potem te nasze władze tutaj, partyjne, przecież też się doskonale orientowały, kto był i co robił – i nie było, właściwie od tej strony nie było żadnych aresztowań. Aresztowania były potem chłopców z „Zośki”, bo oni zrobili sobie taki prywatny zupełnie, wypoczynkowy wypad na Śląsk, na trochę, nie wiem tam, na dziesięć dni czy coś takiego i potem ich aresztowali, bo bali się, że to mogło być... No potem „Anoda” właśnie został aresztowany, zginął. Ale tutaj... Mojego męża na przykład nie aresztowali. Owszem, był wzywany do Pałacu Mostowskich, przepytany. No ogół chcieli koniecznie, żeby podać jakieś nazwiska, adresy przyjaciół, no ale mąż systematycznie odsyłał ich na cmentarz wojskowy, tam można wszystkie nazwiska odczytać i zobaczyć.

Ale jak państwo wracali, to byli świadomi tego, co się dzieje w Polsce?

No trochę tak, ale się w... Zaraz... Myśmy wrócili, znaczy, przez tę właśnie, przez tę powódź i poprzez ten wypadek, dopiero w czterdziestym szóstym roku na wiosnę. Wtedy jeszcze był w jakimś stopniu entuzjazm, że się wraca do kraju. No ta Warszawa była, to tak z obrazków wiecie, że, że jej właściwie nie było, prawda? Było strasznie. Więc... Było wiadomo, że trzeba strasznie dużo robić i że można robić, i że coś z tego może wyniknąć. Tak. I jeszcze nie było tych takich właśnie aresztowań i tych trudności, które wynikły potem, pod koniec lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych. To były te najtrudniejsze lata właściwie. Więc... Tak że ja natychmiast przecież jak przyjechałam, to natychmiast drużynę założyłam i zaczęłam pracować. Tak że jeszcze, jeszcze żeśmy się nie w pełni nie orientowali, co z tego wyniknie.

A ten pierwszy obraz Warszawy jak pani wróciła?

No straszny. Bo jechaliśmy pociągiem z Gdańska, dwanaście godzin pociąg szedł. Tak był zatłoczony, że ja byłam

cały czas w ubikacji, nie siedząc tylko po prostu w tłumie, tym, który tam stał, no bo nie, nie było miejsca, taki był zapchany. I potem z Pragi jechaliśmy jakąś dorożką. No żeby przejechać przez Wisłę, to nie było prosto. Most pontonowy. No i przyjechaliśmy na Żoliborz do domku męża, który stał pogruchotany, ale stał, no i już tam, tam urządziliśmy się. To znaczy zaraz następnego dnia pojechałam najpierw do Łomianek, bo tam miała być moja mama. No mama była pod Górą Kalwarią, więc następnego dnia w tamtą stronę pojechałam, żeby zobaczyć. I, no szczęśliwie właśnie... No przede wszystkim wróciłam z ojcem. Dla matki to była straszna radość i... Bo brat z obozu poszedł do Włoch i tam dostał się do Andersa. Tam skończył, że tak powiem, szkołę wojskową i potem był w Londynie i wrócił dopiero rok czy dwa po mnie do Polski. No ale, ale właśnie i tak cud, że się znaleźli.

A harcerstwo później jak potem...

Harcerstwo w latach właśnie czterdziestych... To znaczy, ja wróciłam dopiero w czterdziestym szóstym na wiosnę, a harcerstwo natychmiast, w czterdziestym piątym już, już działało. I te pierwsze lata czterdzieste, to był szalony entuzjazm. Znaczący i młodzi i starsi chcieli do tego harcerstwa należeć i coś robić. No tak w czterdziestym... Koniec czterdzieści osiem-czterdzieści dziewięć, no wyrzucono nas z harcerstwa. Koniec, nie było. Powstała tak zwana Organizacja Harcerska, partyjna, założona przez partię, tak można powiedzieć. To wyglądało w ten sposób, że wychowawcy musieli... W szkołach, w klasach, byli mianowani od razu drużynowymi i mieli prowadzić no, tę klasę jako drużynę niby. To zwracanie głowy, prawda? Ale muszę powiedzieć, że na terenie Polski to jeszcze przetrwały różne drużyny po cichutku w różnych miejscach. No myśmy wtedy nie byli w harcerstwie zupełnie aż do pięćdziesiątego szóstego roku.

Jakoś uargumentowali to, żeby pani zrezygnowała z harcerstwa? W jaki sposób to się odbyło?

Nie, to nie tylko ja, w ogóle wszystkich instruktorów wyrzucili. Wyszły rozkazy niby zwalniające ze służby w harcerstwie, no i właściwie w ogóle harcerstwo zostało zabronione, nie istniało. Na jego miejsce właśnie powstała ta Organizacja Harcerska, że to niby, niby coś jest.

I co było później z harcerstwem?

No odrodziło się, bo harcerstwo jest tak, jak to mówią, tak jak pluskwy, co to ich nie ma, cicho siedzą i raptem znów są, znajdują się. Więc w pięćdziesiątym szóstym roku zaczęło się odradzać. To był no bardzo, bardzo ciekawy... Muszę powiedzieć, że ja miałam takich kilka ciekawych okresów w swoim życiu, właśnie tych, tego odrodzenia się harcerstwa. No w pięćdziesiątym szóstym roku tak zaczęło się od tego, że wiedzieliśmy, co się dzieje na Węgrzech. Tam zaczęli się ludzie buntować, no i przyszły te wojska ze wschodu i były nie tylko więzienia, ale i mnóstwo śmierci, prawda? A tutaj w tym samym czasie również zaczęła młodzież polska też burzyć się, powstawać, przeciwstawiać tym rządcom, które były. I wtedy, pamiętam, Kamiński, który był w Łodzi, on tam pracował na Uniwersytecie, nawiązywał kontakty z instruktorami i powiedział mi: „Co zrobić, żeby nasza młodzież nie wybuchła i żeby znów tyle – powiedzmy – tyle ludzi zginęło w czasie Powstania, żeby znów następne pokolenie nie poszło pod nóż”. Więc... A zaczęli, rzeczywiście zaczęli, ja pamiętam, w Warszawie. Najpierw Kraków się zgłosił, że oni są gotowi już natychmiast na krzyż harcerstwo... Bo to wszystko zostało zniesione. Ani krzyż, ani harcerstwo, ani przyrzeczenie – tego nie było.

Więc, że oni są gotowi na to, żeby przywrócić z powrotem wszystko. Potem, pamiętam, przyjechało dwanaście osób z Trójmiasta. Na baczność stanęli, że są gotowi. A mego męża nie było w Warszawie wtedy, był we Francji z racji swojej pracy zawodowej, jako inżynier. Więc... Ale prosił zawsze, żebym ja chodziła na te wszystkie spotkania, żeby wiedział, co się dzieje. I w, to już, pamiętam, był grudzień. On wrócił, wrócił 6 grudnia do Polski. 8 grudnia zrobiliśmy spotkanie towarzyskie u nas w domu, ale już przed tym były spotkania takie harcerskie, tajne. No, spotkanie towarzyskie było eleganckie, dorośli ludzie, panie wystrojone – i równocześnie stałe telefon z Łodzi, kontakt. Kamiński się pyta co się dzieje, my mówimy i wtedy on mówi: „Słuchajcie, musicie przyjechać do Łodzi”. Dlaczego. Bo w Łodzi, do niego przyjeżdżają instruktorzy jeszcze przedwojenni, ci którzy jakoś się interesują sprawami harcerstwa, do niego do domu. Ale co ważniejsze, równocześnie jest wielkie zebranie, które prowadzi Zosia Zakrzewska, taka była instruktorka [00:55:35 niezrozumiałe], dobra – tych przedstawicieli tego OH, tego, tego harcerstwa partyjnego, że tak powiem. I tam jest w jakiejś, nie wiem, taki, co to był, budynek jakiś partyjny chyba, duży i jest tam, ponad 500 osób zjechało właśnie z tego OH i oni obradują też na temat niby harcerstwa. No więc... I ten kontakt telefoniczny, co tu niby tańczymy, bawimy się, a tutaj ten telefon. W końcu przyjechał łącznik z Łodzi i skończyło się tym, że to nasze eleganckie towarzystwo siadło na podłodze i śpiewało harcerskie piosenki. No w końcu się rozeszli nocą, a rano następnego dnia było wyznaczone spotkanie w Warszawie na Starym Mieście, w Muzeum Historycznym i tam okazało się, że kilkadziesiąt osób zjechało, ludzi interesujących się harcerstwem. I mój mąż wtedy prowadził to zebranie, po prostu rozmawialiśmy na ten temat, co się dzieje w kraju i co by można zrobić i co by należało zrobić. No ale znów jakiś telefon dzwoni i ostatecznie decyzja, że jedziemy do Łodzi. W związku z tym znowu mąż tam załatwił jakiś autobus, zwykły autobus warszawski. I, no było nas tam trzydzieści kilka osób, które się zdecydowało pojechać, bo przecież no nie wszyscy mogli tak od razu zostawić dom, ewentualnie dzieci czy coś tam i pojechać, no ale było nas tych kilkadziesiąt osób. Pamiętam, że wtedy, jeszcze w tym autobusie do kapelusza zbierałam pieniądze, żeby potem tego szofera opłacić. I przyjechalśmy do Łodzi. Przyszliśmy od razu do tego budynku właśnie gdzie, gdzie było to wielkie zebranie OH, ale dostaliśmy odrębną salkę – możemy tam siąść i sobie obradować. No i myśmy tak zaczęli niby dalszy ciąg tej dyskusji, która w Warszawie się zaczęła. I przyszedł wtedy pan minister Pieńkowski, który już czuwał nad tym i – no tak, powiedział, że się bardzo cieszy, że okazuje się, że jest tyle ludzi, którzy mają dobrą wolę, żeby się interesować sprawami młodzieży. „No ale – mówi – ale tam w następnej sali, to tam są reprezentanci wszystkich województw z Polski, tak że z całego kraju”. Okazało się, że u nas też byli reprezentanci z całego kraju. No i on mówi: „Ale wiecie co? No bardzo mi miło was tutaj widzieć i słyszeć, ale wiadomo, że jak wiatr historii wieje, to powinno się, lepiej siedzieć w domu”. I wtedy znów mój mąż, który prowadzi to zebranie, mówi: „Tak, ale tak jest dziwnie, że jak wiatr historii wieje, że to harcerze zawsze są na ulicy”. No i takie były pogadanki. Po jakimś czasie przyjechał do nas Kamiński z tymi starszymi instruktorami, jeszcze przedwojennymi też i w końcu nas zaproszono do tej sali, gdzie było te kilkaset osób z OH. No i tam się stała bardzo dziwna rzecz, bo się okazało, że, że cała ta sala entuzjastycznie nas powitała, Kamińskiego i nas wszystkich. I przecież nam nie chodziło wcale o to, żeby odnowić harcerstwo przedwojenne, tylko żeby coś zrobić z młodzieżą, żeby ją troszeczkę [uziemić]? A tam był taki jakiś entuzjazm w tej całej sali, nie tylko naszej grupy, ale właśnie tych innych, że tak: krzyż został przywrócony, lilijka przywrócona, przyrzeczenie przywrócone – no, niesamowicie to wszystko poszło i to jeszcze tak zapisywali na tablicy: to, to... Do tego wracamy, do tego wracamy. No i rezultat był taki, że właściwie zostało odnowione harcerstwo przedwojenne, formalnie. No i rozjechaliśmy się do, do domów, znaczy, do Warszawy. Tutaj pamiętam jeszcze wybory chorągwi warszawskiej. Też było trudno, bośmy wtedy wybrali jako przewodniczącego, komendanta chorągwi, takiego leka-

rza-psychiatrę. To był „Zawiszak”, Fiutowski. Partyjny. Specjalnie wybraliśmy takiego, kto był partyjny, żeby nam, żeby już tutaj nas nie zahaczyli. No ale wiedzieliśmy, kto to jest. Niestychanie porządny człowiek, bardzo dużej wartości. Bez jednej ręki, którą stracił w czasie Powstania zresztą. No i zaczęliśmy pracę na terenie Warszawy. Pierwszy obóz w sierpniu, nie w lipcu, w różnych miejscach. Świetne były te obozy, bo się zgłosili instruktorzy przedwojenni, z lat czterdziestych, no i oczywiście dużo młodych, którzy w ogóle się chcieli zapisać. Tak że no, kadry instruktorskiej było naprawdę dużo i to bardzo dobrej. Myśmy wtedy w Barlinku prowadzili obóz przez, bo był jeden tylko, hufca Żoliborz. I w tym samym miejscu był taki obóz instruktorski, kształcenia instruktorów. No dużej klasy byli instruktorzy, naprawdę, bardzo. Ale to wszystko razem trwało strasznie krótko, bo w pięćdziesiątym, chyba na początku pięćdziesiątego dziewiątego roku druh Kamiński niestety powiedział, że musi ustąpić. Dlaczego. Dlatego że władze państwowe zarządziły, że w każdej jednostce harcerskiej, takiej większej, to znaczy nie drużyna, ale hufiec, chorągiew no i władze od góry, muszą, musi być reprezentant partii i wszystkie rozporządzenia, które idą, muszą być aprobowane przez tego przedstawiciela partyjnego. I wtedy druh Kamiński powiedział, że jak jest taka dwuwładza, to on niestety nie może się podjąć wychowywania młodzieży na dobrych obywateli i bardzo mu przykro, ale musi odejść. I wtedy z nim razem odeszło parę osób, między innymi mój mąż zresztą też. Ja zostałam jeszcze. I jeszcze powiedział, że bardzo prosi wszystkich instruktorów, którzy uważają że dadzą sobie radę na taką współpracę, że mogą zostać mimo to, z młodzieżą, żeby zostali. No ja niedługo zostałam, bo właśnie w pięćdziesiątym dziewiątym roku hufcowy z Żoliborza powiedział mi – ja prowadziłam wtedy kursy instruktorów – powiedział mi, że bardzo cieszy się, że ja tak pracuję tutaj dla hufca, no ale jednak bardzo prosi żebym ja zmieniła to, co robię i żebym zajęła się magazynem, pracą w magazynie. No więc ja wtedy niestety podziękowałam. Miałam ostatni raz mundur na sobie i już od tego czasu go więcej nie miałam. Ale to to harcerstwo się przecież do dzisiejszego dnia objęło o ten dom stale, o mnie, czy ja o harcerstwo, wzajemnie. No a potem jeszcze przyszedł rok osiemdziesiąt dziewięć-dziewięćdziesiąt i znowu to harcerstwo się odbiło od dołu i znów się w naszym domu to działo. Tak że tak. Bardzo rzeczywiście jestem z tym harcerstwem związana.

A współpracowała pani, znaczy, no znajomość z Aleksandrem Kamińskim, to chyba długo.

No długo. To znaczy, przede wszystkim mój mąż kończył u niego kurs jeszcze przed wojną, był najmłodszym harcmistrzem w Polsce. Więc znajomość była od bardzo dawna. No jakoś siebie wzajemnie dostatecznie cenili i uważali, że są potrzebni. A ja poznałam Kamińskiego dopiero po wojnie. Ja go w czasie wojny nie znałam. Znaczący, o tyle znałam, że składałam przyrzeczenie, bo składałam przyrzeczenie – znaczy, harcerskie miałam przed wojną, a potem w czasie wojny składałam „wawerskie” i AK. Więc... I składałam właśnie to „wawerskie” na ręce Kamińskiego, w mieszkaniu „Alka” Dawidowskiego zresztą. Więc no jakoś się z nim stykałam, ale nie mogę powiedzieć, że go znałam. A po wojnie dopiero, no tyle że on bardzo często bywał u nas w domu i my u niego, więc, więc wtedy go rzeczywiście poznałam bliżej.

I jak pani go wspomina?

Muszę powiedzieć, że przez pewien czas to uważałam, że jest za łagodny, za miękki, za dobry. Że nie jest wodzem. A dopiero później oceniłam jak on mądrze postępował, niestychanie. Rzeczywiście miał niebywały dar taki wycho-

wawczy. On potrafił rozmawiając z ludźmi już, powiedzmy, dojrzałymi, młodszymi, podsunąć swoją myśl zrobienia czegoś, ale w ten sposób, że potem ten jego rozmówca przyjmował, że to jest jego myśl. I wtedy Kamiński mówił: „Ale jak druh świetnie to wymyślił, doskonale”. On siebie wycofywał, ale potrafił podsunąć i rozwijać tych innych ludzi, żeby mieli swoją inicjatywę i... Tak że bardzo, bardzo, był naprawdę mądrym człowiekiem. Zresztą jak się przeczyta te jego niektóre książki, to można znaleźć dobre myśli. Właśnie teraz się trochę martwię tym harcerstwem, bo tak też nie widzę ani wodzów, ani autorytetów, tak jak właściwie wszędzie naokoło. A w sobotę jak byłam w – można, można mówić coś innego?

Tak.

Jak byłam na tej uroczystości w Zamku, był jeden przesympatyczny moment. Mianowicie, przemawiał druh Ryszard Kaczorowski. Ja go znam już od lat, bośmy jak on, on w Londynie po wojnie tam był, jak myśmy jeździli do Londynu, to zawsze, zawsze tam u niego byliśmy. Więc przemawiał. I miał jakąś kartkę, którą widocznie miał napisane i czytał. I dosyć szybko się... I mówi: „Strasznie przepraszam, ale zapomniałem okularów”. I w tym momencie pan Komorowski wstał z... Jako, on był, siedział jako, jako słuchacz. Wstał, podszedł do niego, objął go wpół, mówi: „Ja przeczytam przecież”. I przeczytał to wszystko. Oczywiście dostał szalone brawa, bo przeczytał to całe przemówienie druha Ryszarda Kaczorowskiego. Przecież Komorowski też jest, też jest harcmistrzem, harcerzem. Więc ten, więc tak to było przyjemne, naprawdę. Takie sobie odruchowe. Że taka uroczystość w tym Zamku, wszystko było takie, prawda, po-
ustawiane. Zresztą jego przemówienie, bo po tym przemawiał jeszcze, bo on dostał odznaczenie i... Z tej Fundacji im. Broniewskiego. Więc potem przemawiał i bardzo ładnie mówił. Bardzo ładnie mówił. I zresztą wiem, że on potrafi dobrze mówić. A tak było trochę nudnawe wszystko razem. Na końcu tylko występowała jakaś drużyna z Legionowa chyba – gdzieś spod Warszawy i bardzo ładnie śpiewała rzeczywiście. I zaśpiewała trzy harcerskie piosenki. Zresztą, że tak powiem, cała publiczność się włączyła do niektórych i to było takie sobie naturalne, przyjemne. A przedtem był taki koncert fortepianowy, poważny bardzo i wiersze, ładne wiersze, które ja bardzo lubię, czytane przez młodego Janczara, ale to jakoś tak nie wyszło.

[01:10:06 KONIEC NAGRANIA]